Śniąc kodem

Rob Lucas

Esej ten pierwotnie został opublikowany po szwedzku pt. „Att arbetta i sömnen" („Pracując we śnie") w piśmie „Dissident" (nr 3/2008). Pierwsza, dłuższa wersja po angielsku ukazała się w „Endnotes" (nr 2, pt „Sleep-Workers Enquiry"). Poprawiona wersja ukazała się w „New Left Review" (nr 62 March/April 2010, pt. „Dreaming in Code"). Niniejszy przekład powstał na podstawie wersji z „New Left Review". Dziękujemy redakcjom NLR i Endnotes oraz Autorowi za zgodę na publikację przekładu.

Tego ranka, unosząc się w owym stanie pomiędzy snem a jawą, w którym – tuż przed przebudzeniem – możesz już zdać sobie sprawę, że twój sen był właśnie snem, dotarło do mnie, że znów śniłem kodem. W ciągu ostatnich tygodni ciągle mi się to zdarzało; w istocie, w większości przypadków, kiedy zdawałem sobie sprawę z zawartości meandrów mojego nieświadomego umysłu, było to coś abstrakcyjnie połączonego z moją pracą. Pamiętam brzmiący w moich uszach dźwięk *call centre*, w czasach kiedy jeszcze tam pracowałem, a od przyjaciół słyszałem o dodatkowej zmianie, jaką odrabiali pomiędzy pójściem do łóżka a przebudzeniem – powtarzające się przez całą noc piknięcia kasy supermarketu. Ale śnić *na temat* swojej pracy to jedno; śnić *w ramach logiki* swojej pracy, to coś zupełnie innego. Jasne, jest coć okropnie niefortunnego w tym, że nieświadomość nie może znaleźć nic lepszego, niż wracać do przyziemnych zadań, lub że zmysły wydają się tak naznaczone naciskiem codziennej pracy. Ale w tym rodzaju snu, który śniłem, sam ruch mojej jaźni uległ przekształceniu: zachowywała się jak w pracy. Jakby powtarzające się wzory myślenia i specyficzna logika, której używam w pracy, stały się logiką sprzętową, stały się automatyczną logiką, której używam – do myślenia. Jest w tym coś wytrącającego z równowagi.

Najbliższą być może analogią jest porównanie z kimś, kto błyskawicznie musiał zapoznać się z nowym językiem, osiągajac punkt, w którym sny i poboczne myśli półświadomości zaczynają pojawiać się same w tym języku. Tutaj także mamy do czynienia z nową „logiką", którą umysł stara się przysposobić, mózg okazuje się pseudoobiektywnie skanować swoje własne procesy i określać naturę ich logiki jako czegoś szczególnego – czegoś, co jeszcze nie posiada całego umysłu, ale zamieszkuje go już i obejmuje dowodzenie całości jego zasobów. Nikt nigdy nie uzyskuje tego rodzaju perspektywy wobec myśli w w swoim własnym języku; zwykle nie rozwijamy też świadomości szczególności swoich własnych myśli. Ale teraz właśnie doświadczam ich jako czystego rozdwojenia: między mną-w-logice-pracy a mną-się-temu-przyglądającym.

I

Pracuję w informatyce. Konkretnie, jestem *web developerem*, co oznacza, że potencjalnie piszę wszystkie możliwe kody, które wchodzą na stronę internetową: znaczniki w rodzaju HTML i XML, wizualne stylizacje, funkcjonalna „logika", która rozgrywa się za sceną twojej przeglądarki i w niej. Pracuję w małej firmie w dziedzinie *e-commerce*, specjalizującej się w trudnym biznesie sprzedaży za pośrednictwem sieci samochodów z drugiej ręki. Firma jest późnym echem bańki dot-comowej, w której jeden z dyrektorów zarobił tyle pieniędzy, że wciąż trzymają one ten bezzyskowny biznes na powierzchni. Jestem głównym *web developerem*; pracuję z jednym jeszcze, który zajmuje się również stroną graficzną. Podlegam głównemu informatykowi, który – oprócz tego, że sam też programuje – czuwa nad tym, jak wszystkie nasze projekty współgrają ze sobą nawzajem. Nad nim są dyrektorzy, para

zdziwaczałych odrodzonych chrześcijan z głęboko wpojoną etyką pracy. Próbowali kiedyś wkręcić wszystkich pracowników w tzw. Kursy Alfa, charyzmatyczny chrześcijański projekt werbunkowy, organizując comiesięczne „Dni Boże", kiedy wszyscy mogli wziąć wolne – pod warunkiem, że ten dzień spędzą na herbatce z pastorem. Nietrudno zgadnąć, że wielu pracowników wolało się wykręcić i pójść raczej takiego dnia do roboty, niż obijać się o próby religijnego nawracania.

Cechą charakterystyczną tej pracy jest rozdźwięk – lub nawet antagonizm – między biegunem biznesu a biegunem techniki. Informatycy („*techies*") zawsze odczuwają kierujących biznesem jako osoby podejmujące arbitralne decyzje oparte na niewystarczającej wiedzy o tym, jak to wszystko naprawdę działa; o ileż lepiej wszystko mogłoby być zrobione, gdybyśmy tylko my, którzy rozumiemy trzymane w rękach zadanie, byli z tym pozostawieni sami sobie. Ci od biznesu z kolei zawsze odbierają *techies* jako upierdliwców, pedantów, niepotrzebnie lub patologicznie krnąbrnych, podczas gdy pracownicy techniczni sądzą, że to opór rzeczywistości i jej wymagań. W jakiś sposób ułatwia mi to życie: skoro kontakt ze stroną biznesową jest głównie zapośredniczony przez specyficznego „kierownika projektu", a ja zadaję się przede wszystkim z tymi po mojej stronie wielkiego podziału, można nawet rozwinąć swego rodzaju postawę „my kontra oni".

Z naszego punktu widzenia biznes i jego potrzeby jawią się jako pasożytujące byty narzucone z zewnątrz na funkcjonowanie naszego nastawionego na produkcję wartości użytkowej przedsięwzięcia. Jesteśmy dziwnie przywiązani do pewnej normatywności; nie tylko takiej, żeby swoją robotę wykonać dobrze w sensie technicznym, ale też do myślenia w kategoriach skutecznego dostarczania prawdziwych usług, komfortu użytkownika, pobudzania wolnego przepływu informacji. Niekiedy przelewa się to i przyjmuje postać otwartego konfliktu: gdy biznes optuje za pokrętnym użyciem języka, byle tylko podkręcić „produkt", *techies* będą się zawsze starali przechylić szalę z powrotem na stronę uczciwości i przejrzystości. „Każdy uczynek do ciebie wróci" wydaje się być przeważającą postawą w świecie web developerów w epoce po Web 2.0: dostarczaj usługi tanio lub za darmo, udostępniaj informacje nieodpłatnie, bądź uczciwy i miej nadzieję, że pieniądze jakoś zaczną do ciebie spływać. Jeżeli przedsiębiorstwo działa, rozumując w kategoriach kapitału pieniężnego, ścierając się ze światem jako stawiającym mu opór i podnoszącym bunt, który należy złamać, i jeśli podąża za tym tendencja, by za wszelką cenę sprzedać gruszki na wierzbie, w tym dziwnym świecie, gdzie techniczna duma przeciwstawia się kapitałowi jako tegoż kapitału własne rozwinięte superego, wartość użytkowa rządzi z nienaruszoną samoświadomością; wszystko jest „sprawdzone przez zdrowy rozsądek" – by użyć sformułowania mojego szefa – i gromadzenie wartości pojawia się przypadkiem gdzieś z boku.

Nieufni wobec biurokracji związkowej włoscy *operaisti* lat 60. XX wieku mieli nadzieję odkryć możliwości robotniczej autonomii wewnątrz samego procesu produkcji poprzez praktykę „kwestionariusza dla robotników"[1]. Badanie antagonizmu biznes-technika w dziesiejszym świecie *web development*, ukazuje jednak kiepski grunt dla

rewolucyjnego optymizmu. Solidarność, którą rozwijamy przeciwko biznesowi, oprócz tego, że dostarcza nam wytchnienia i ochrony przed indywidualnymi krzywdami, funkcjonuje jako „test zdrowego rozsądku" dla samej firmy. Sprzeczność między pracownikami technicznymi i biznesem jest produktywna dla samego kapitału: imperatyw waloryzacji powstrzymuje *techies* przed zapuszczaniem się w rejony ich najbardziej ezoterycznych zainteresowań, podczas gdy biznesowa potrzeba realizmu jest wzajemnie wzmacniana przez technicznych, jako że oni kładą nacisk na szeroko „naukowy" sposób pracy.

Niewiele zostaje w tym układzie miejsca na świadomą „odmowę pracy": w konsekwencji indywidualnie alokowanego i skoncentrowanego na projekcie charakteru pracy, nieprzychodzenie do pracy prowadzi jedynie do ukarania samego siebie, jako że praca nie wykonana teraz, i tak będzie musiała być wykonana później, pod naciskiem większego stresu. Jest poza tym ogromna presja interpersonalna, która przychodzi wraz z samą rolą: skoro większość pracy jest „wspólna" w bardzo luźnym sensie, wleczenie się w tyle czy absencja pociągają za sobą w sposób konieczny poczucie winy w stosunku do ogółu *techies*. Sabotaż też nie jest tu żadnym twórczym rozwiązaniem; nie z powodu założonej dumy wysoko wykwalifikowanego pracownika, ale ze względu na naturę produktu. Na linii produkcyjnej, sabotaż może być racjonalną taktyką, bo zatrzymuje nieustający przepływ, by dostarczyć pół godziny kolektywnej wspólnotowości. Kiedy czyjaś praca przypomina pracę rzemieślnika, sabotaż czyni życie trudniejszym. Od czasu do czasu słyszy się o freelancerach czy pracownikach zakontraktowanych, którzy piszą konfundujące, idiosynkratyczne „kody spaghetti", by zapewnić sobie pracę na przyszłość. Ta technika może działać, ale wtedy, gdy firma opiera się w ogromnym stopniu na pracy konkretnych osób; jednak w typowym otoczeniu, które posługuje się metodykami zarządzania informatycznego opartymi na informacji zwrotnej [*feedback-centred IT management*], takimi jak zwinne [*'agile'*] i ekstremalne programowanie [*'extreme' programming*][2], i w którym „własność" projektu pozostaje zawsze kolektywna, wysokiej jakości, w jasny sposób czytelny kod jest *normatywnym* priorytetem, który sięga dalej niż prywatne odczucia, jakie ten czy ów może osobiście mieć na temat dobrego wykonywania własnej pracy.

Oczywiście, jest i ten banalny poziom, na którym zwlekam się z oporem z łóżka, wstaję tak wcześnie, jak tylko mogę, żeby wesprzeć moje szanse w kategoriach punktualności. Staram się uczynić czas pracy „moim czasem" tak bardzo, jak to tylko jest możliwe – słuchając swojego iPoda, wciskając w mój dzień roboczy odrobinę własnych lektur czy dyskretnie prowadzonych w sieci rozmów z przyjaciółmi. Są to te rzeczy, które stanowią pożywkę kwestionariusza robotniczego. Ale dolna granica oporu leży tu na tym samym poziomie, co opór ludzkiego ciała przeciwko nieograniczonemu rozciąganiu czasu pracy. Ludzie zawsze będą testować, jakie są dopuszczalne granice, ale takie działania zawsze są zdefiniowane przez ramy tego, co da się przyjąć w danej pracy. Jawna niesubordynacja moich opóźnień szybko by się zawaliła, zagrażając moim środkom do życia, skoro społeczne uwarunkowania mojej pracy są takie, że ile czasu sobie „odbieram" przez spowalniające proces zachowania, z nawiązką zostanie mi odebrane, gdy zbliżać się

będzie *deadline*, a ja będę musiał do późna w noc robić darmowe nadgodziny, lub zaczynać w środku nocy, by naprawiać serwery, kiedy nikt ich nie używa.

Tylko kiedy nadchodzi choroba i bez udziału mojej woli czyni mnie niezdolnym do pracy, naprawdę zyskuję „czas dla siebie". Dziwna trochę to rzecz, cieszyć się z nadejściem grypy, że w okresie rekonwalescencji będzie można wreszcie nadrobić sprawy odepchnięte na bok przez pracę. Choroba jawi się więc w tym momencie jako „broń", ale niestey taka, która toczy swoją własną walkę, bez kontroli domniemanego szermierza.

Czasem się jednak zastanawiam, czy powinno to być postrzegane jako coś jedynie patologicznego, awaria narzucona na ciało z zewnątrz. Choroba może się wydawać niemal na życzenie – wakacje, których ciało dla siebie żąda. Być może jest jakaś ciągłość pomiędzy „prawdziwą" chorobą a chorobą „na życzenie", o którą tymczasowy, przygrubawy agent oskarżył mnie kiedyś, gdy przez tydzień uchylałem się od pracy. Ale jeśli choroba to wszystko, co mamy, to niewielkie to daje nadzieje na opór o jakimkolwiek znaczeniu.

II

Jeśli w „kwestionariuszu dla robotników" chodzi o wydobycie na światło dzienne tajemnej historii mikro-rebelii, eksponowanie możliwości walki w drobnym ziarnie przeżywanych doświadczeń i poszerzanie świadomości własnej i innych pracowników w toku procesu, to tu mamy robotniczy kwestionariusz w trybie cynicznym. „Walczymy", jesteśmy krnąbrni. Ale w sytuacji „*techies* kontra biznes" nasza krnąbrność jest integralnie wpisana w ruch kapitału i jako pracownicy nie potrafimy rozpoznać horyzontu dla naszej walki, jeśli taki w ogóle istnieje. W perspektywie „z dnia na dzień", nasz interes okazuje się zbiegać z interesem tego szczególnego kapitału. Jeśli programiści są w awangardzie świętych praw wartości użytkowej, technologicznej wolności, pracy kolektywnej, moralności „najlepszych praktyk" i wolności informacji, jest tak dlatego, że wszystkie te rzeczy są wypozycjonowane jako konieczne dla ruchu kapitału. Systemowa normatywność, w ramach której ustawione są praktyki naszej pracy, jest jedynie uniwersalizacją samej logiki kapitału.

Tak samo jak kapitał nałożył na siebie ograniczenia w postaci państwa, aby nie zniszczyć samego siebie przez chciwą samolubność każdego indywidualnego kapitału, tak – po wczesnym okresie brzydkiego kodowania, spowodowanego fragmentaryzacją Internetu w coś na kształt Wieży Babel różnorodnych platform, wyszukiwarek i języków – uformował się w świecie web developerów konsensus, wedle którego „standardy" są ważne. W samym centrum stanęła idea uniwersalności: wszystko, co stosuje się do tych standardów, powinno być wspierane; co się nie stosuje, prosi się o kłopoty. Microsoft stał się wśród internetowych profesjonalistów pariasem właśnie ze względu na jego nieustające lekceważenie dla tych standardów i skłonność do rozwijania własnościowych aneksów w publicznej przestrzeni sieci. Web developerzy z dumą nosili znaczki sieciowych standardów na ich prywatnych

stronach i stali się aktywnymi adwokatami takich technologii jak Firefox Mozilli, który, będąc *„open source”* bije Internet Explorera na głowę w kategoriach spełniania standardów; w rzeczywistości w moralnym uniwersum web developera standardy stoją o niebo wyżej niż tylko *open source*. Możliwość uniwersalizacji praktyk pracy stała się szczególnym imperatywem kapitału informacyjnego; obowiązkiem wobec „niewidzialnego kościoła” Internetu.

Niektóre z tych aspektów są związane z kolektywnym charakterem pracy w firmie i nie dotyczą freelancerów; ale „bycie swoim własnym szefem” często kończy się przyjmowaniem na siebie tego, co w innych okolicznościach mogłoby być zostawione innym. Pracowałem trochę jako freelancer, i na samą myśl o tym teraz dusza mi więdnie. Jako freelancer możesz łatwo skończyć, robiąc niezliczoną ilość godzin, wpuszczając projekty w swój „własny” czas, z pracą coraz bardziej kolonizującą życie, z powodu braku oparcia dla ich rozdziału, który gwarantowałby przelotną ucieczkę od wyalienowanej pracy. Teraz przynajmniej kiedy wychodzę z biura, wkraczam w świat nie-pracy.

W istocie twarda separacja praca-życie, poniedziałek-piątek, 9-17, wydaje się w moim doświadczeniu coraz bardziej zagrożona. Niedziela przynosi rosnącą świadomość, że ciężki powrót do pracy się zbliża, co czasem oznacza przeciąganie resztek weekendu do wczesnych porannych godzin poniedziałku, podczas gdy piątkowe wieczory otwierają poszerzającą się rozpadlinę pragnienia i desperackiej pogoni za satysfakcją, której logicznym zwieńczeniem jest samounicestwienie się w procentach. Staję się hedonistyczną karykaturą samego siebie wyzywającą innych, by imprezowali ostrzej, dłużej; rozbija to wiele z mojego czasu wolnego w połamanym stanie kaca. To stan rockendrollowca w starym stylu: nie-praca jako stan czystego, transcendentnego pragnienia i konsumpcji, nicość abstracyjnego pożądania – odmowa samego tylko reprodukowania siebie jako pracowników, zdublowana przez wolę unicestwienia się jako ludzi. O tym właśnie jest *„1970”* zespołu The Stooges.

III

Ale leżąc w stanie takiej potrzaskanej wczesnoporannej świadomości, kiedy przelotna ostatniej nocy próba wyzwolenia ustępuje, często zdaję sobie sprawę, że śniłem kodem. Może to być którykolwiek spośród wielu, przy użyciu których pracuję. Sekwencja wskoczy mi do głowy, rozwijając się sama, jak urywek melodii powracający w moich uszach. W większości przypadków, gdybym był wystarczająco świadomy, by to potem sprawdzić, prawdopodobnie byłby to nonsens. Mam z tym wystarczająco dużo trudności, gdy jestem przytomny i podejrzewam moją podświadomość, że nie wypada lepiej. Ale czasem to ma sens. Któregoś ranka całkiem niedawno obudziła mnie myśl o błędzie w napisanym wcześniej kodzie, z którego sobie nie zdawałem sprawy. Mój umysł sprawdzał we śnie pracę z całego tygodnia i natknął się na nieścisłość. Ponieważ jestem pracownikiem

umysłowym i identyfikowanie takich problemów jest kluczowym aspektem mojej pracy, nie będzie fantastyką stwierdzenie, że rzeczywistą pracę wykonywałem we śnie. To nie żadna magiczna płodność generalizowanej pracy kreatywnej, tłuczącej masowo „wartość" poza – a ontologicznie przed – procesem pracy. To faktyczna praca *dla kapitału*, nieodróżnialna w swoim charakterze od tego, co robię w ciągu mojego dnia pracy – ale przejawiająca się w moim umyśle we śnie. I nagle wynurzyła się ta koszmarna myśl o nowym typie obiektu – takim, który wymaga transformacji samych struktur świadomości. Mam istotnie wrażenie, że standardowe wzory myślenia wydają się wypalone na moim umyśle: chwila rozpoznania, że występuje jakiś problem, wywołuje przelotne szacowanie możliwego położenia błędnego kodu, zanim świadomość nie wyrwie mojego umysłu ze świata kodowania ku oprzytomnieniu, że nie wszystkie problemy rozwiązuje się, naprawiając „*bugi*".

Poza tą specyficzną syntaksą języka komputerowego, o wciągnięcie mnie w grę myślenia w ten sposób podejrzewam i inną logikę – daleką od neutralności, abstrakcyjną, instrumentalną logikę kapitalizmu *high-tech*, z jego dyskretnymi procesami, operacjami, zasobami. Logika przywiązana do szczególnych „ontologii" – do klas i instancji „programowania obiektowego", jednostek języków znaczników w rodzaju HTML – to forma, która w coraz większym stopniu kształtuje strukturę mojego myślenia. Kiedy myślenie stało się aktywnością produktywną dla kapitału – pracą, za którą się dostaje wynagrodzenie – i kiedy ten sposób myślenia stał się przyzwyczajeniem umysłu, który wybija się w ruch bez wysiłku czyjejkolwiek woli, możemy zacząć stawiać pytanie, czy podmiotem takiego procesu pracy jest wciąż zośrodkowana jednostka, ta, która zajęłaby się urządzaniem własnego życia, gdyby nie musiała go podporządkowywać wyalienowanej, absktrakcyjnej władzy wartości. Kiedy zdaję sobie sprawę, że pracowałem we śnie, obserwuję siebie działającego w wyalienowany sposób, myślącego w obcy mi sposób, poza formalnym procesem produkcji, a pracującego poprzez spontaniczne procesy umysłu. Kto może powiedzieć, że ten język nie zajmie kiedyś swojego miejsca jako język naturalny – alienacja w całości połknęłaby to, co alienuje?

Kiedy środowisko pracy nie daje już miejsca oferującego możliwość i sens codziennym aktom niesubordynacji, rozwijania poczucia ukrytej „autonomii", usytuowanej w zupełnej zewnętrzności wobec robotnika w procesie produkcji, ale raczej pozycjonuje produktywny antagonizm, w którym pracownicy techniczni serwują kapitałowi „test zdrowego rozsądku", a krnąbrność jest tylko cielesnością, przez którą przepływa kapitał; i kiedy praca staje się już zwyczajem umysłu zdolnym odpalić nawet we śnie, wówczas okazuje się błędem sadowienie tak wielu rewolucyjnych nadziei w naturze pracy umysłu i jej produktach, Internecie i „pracy niematerialnej".

Tłumaczenie: **Jarosław Pietrzak**

Przypisy tłumacza:

[1] Włoscy operaiści przejęli pojęcie „kwestionariusza dla robotników" od samego Marksa (Karol Marks, *Kwestionariusz dla robotników* [w:] MED, t. 19, ss. 251-258, Książka i Wiedza 1972). Serdeczne podziękowania tłumacza dla Zbigniewa Marcina Kowalewskiego i Sławomira Królaka za pomoc w ustaleniu źródła i rozwiązaniu trudności z tłumaczeniem.

[2] Programowanie zwinne (*agile software development*) to sposób wytwarzania oprogramowania opartego o programowanie iteracyjne. Najczęściej stosowane w małych zespołach programistycznych, nie wymagających rozbudowanej dokumentacji kodu (dzięki łatwości komunikacji). Metoda nastawiona jest na szybkie wytwarzanie oprogramowania wysokiej jakości w wielofunkcyjnych zespołach pozbawionych hierarchii korporacyjnej, przy wysokim stopniu „samozarządzalności" i przyjmowania poszczególnych obszarów odpowiedzialności przez członków zespołu.

Programowanie ekstremalne (*eXtreme Programming, XP*) to (za Wikipedią) „paradygmat i metodyka programowania mające na celu wydajne tworzenie małych i średnich 'projektów wysokiego ryzyka', czyli takich, w których nie wiadomo do końca, co się tak naprawdę robi i jak to prawidłowo zrobić. Przyświeca temu koncepcja prowadzenia projektu informatycznego, wywodząca się z obserwacji innych projektów, które odniosły sukces.

Podstawą ekstremalnego programowania jest synergia wynikająca ze stosowania rozmaitych praktyk, które same w sobie mają wiele zalet, lecz mogą być trudne w zastosowaniu. Łączne użycie tych praktyk ma zapewniać wyeliminowanie niedogodności każdej z nich." Przyp. tłum.